

W numerze 2 kwartalnika zamieściliśmy tekst prof. Witolda Kwaśnickiego „Gospodarka społeczna z perspektywy ekonomii liberalnej”. Jest to pierwsza część ekspertyzy przygotowanej przez Autora dla Instytutu Spraw Publicznych, koncentrująca się na kwestiach ekonomii społecznej (druga w większym stopniu dotyczy trzeciego sektora w ogóle; pełny tekst ekspertyzy dostępny jest na stronie internetowej www.isp.org.pl/kompas/ekspert.html). Tekst ten spotkał się z zainteresowaniem (był m.in. przywoływany na łamach „Polityki”). Poniżej zamieszczamy polemikę dr Ryszarda Szarfenberga oraz odpowiedź Witolda Kwaśnickiego.

Ze swej strony chcielibyśmy zaznaczyć, że wprowadziliśmy w tytule tekstu Witolda Kwaśnickiego określenie „z perspektywy liberalnej” (roboczy jego tytuł brzmiał po prostu: „Gospodarka społeczna”), gdyż spojrzenie z tej właśnie perspektywy na sektor ekonomii społecznej podkreślał Autor na seminarium w styczniu 2005 r., na którym prezentował roboczą wersję ekspertyzy. Dodajmy, że świadomie zamówiliśmy tekst u Autora, o którym wiedzieliśmy, że nie identyfikuje się z sektorem ekonomii społecznej i przedstawi uwagi niejako „z zewnątrz” odnośnie szans, ale i zagrożeń związanych z jego rozwojem.

Zamieszczając polemikę i odpowiedź na nią kończymy na łamach kwartalnika wymianę poglądów między oboma Autorami. Zachęcamy natomiast Czytelników do wypowiedzi na temat ekonomii (gospodarki) społecznej w Polsce. Chętnie powrócimy do tej kwestii na łamach „Variów”, gdyż uważamy ją za jedną z kluczowych dla rozwoju sektora obywatelskiego w naszym kraju.

Redakcja

Ryszard Szarfenberg

Liberalna recepta na gospodarkę społeczną (polemika)

Do napisania polemiki z tezami zawartymi w tekście Witolda Kwaśnickiego pt. *Gospodarka społeczna z perspektywy ekonomii liberalnej* („Trzeci Sektor” nr 2) skłoniło mnie to, że nie lubię, gdy polityczne rekomendacje uzasadniane są wiarą w doskonały wolny rynek lub w doskonałą interwencję państwa. Wolałbym, żeby w dyskusjach na temat tego, jak ma być zorganizowane życie zbiorowe odwoływano się do bardziej realistycznego obrazu świata.

W omawianym tekście można wyróżnić dwa pomieszczone i słabo powiązane ze sobą wątki. Pierwszy rozwijany jest poprzez dość szczegółowe relacjonowanie wybranych definicji, koncepcji i danych dotyczących gospodarki społecznej oraz trzeciego sektora. Jeden z wniosków wynikający z analizy porównawczej mówi o niedorozwoju organizacji obywatelskich w Polsce. Na drugi wątek składa się krytyka tezy, iż gospodarka społeczna to „szczególny sektor, który powinien mieć uprzywilejowane

miejsce w polityce państwowej, ze swoimi specyficznymi normami i standardami”. Poniżej postaram się wykazać, że uzasadnienia tej krytyki i wynikające z niej rekomendacje są mało przekonujące.

Czy gospodarka społeczna to szczególnie sektor? Autor dowodzi, że rynek nie jest taki, jakim chcą go widzieć jego krytycy, a więc osłabia argumenty tych, którzy poprzez krytykę rynku dochodzą do wniosku, że należy wspierać i rozwijać gospodarkę społeczną, uprzywilejowując ją w polityce państwowej. Stara się również przekonać czytelnika, że mamy do czynienia z procesem konwergencji przedsiębiorstw rynkowych, które w coraz większym stopniu zwracają uwagę na cele społeczne (w każdym razie inne niż zysk) i podmiotów gospodarki społecznej, coraz bardziej przypominających przedsiębiorstwa rynkowe, tyle że z misją społeczną. Jeżeli uznamy, że tak jest rzeczywiście, to zniknie przynajmniej jeden z powodów, dla którego powinniśmy traktować przedsiębiorstwa społeczne inaczej niż przedsiębiorstwa rynkowe.

Przyjrzyjmy się sposobowi w jaki Witold Kwaśnicki oddał argumenty krytyków rynku. Etykietuje ich jako „biurokratów rządowych i zwolenników interwencjonizmu państwowego”, przypisuje im motywy polityczne (akceptacja społeczeństwa dla biurokratów rządowych, robią to więc dla własnego interesu) i nie przedstawia ich argumentacji („winią go [rynek] o wszelkie zło”). Takie podejście uznaję za niedopuszczalne w racjonalnej dyskusji, gdyż odnosi się do osób, a nie do meritum, przedstawia też karykaturę stanowiska przeciwnika: „rynek obwiniają za wszelkie zło biurokraci dla własnego politycznego interesu”.

Autor rozwija też długi wywód, z którego dowiadujemy się najpierw – na podstawie opowieści o dwóch drzewach – że rynek nie jest „straszna bestia” i „nieokiełznaną konkurencją”. Z wyводу tego wynika, że rynek to nie tyle konkurencja, ile „przede wszystkim współpraca tworząca odpowiednie warunki do rozwoju wszystkich obecnych na nim podmiotów”, chociaż w wyścigu wymuszonym przez tę współpracę wiele z owych podmiotów zostanie wyeliminowanych. To jednak nie jest problem, gdyż zawsze można znowu spróbować swoich

sił, a poza tym rynek ma wbudowane „mechanizmy hamujące”. Nie wiadomo na czym polega ich działanie i po co one są, skoro rynek to „swobodna, wolna od jakichkolwiek wpływów politycznych wymiana handlowa niezależnych podmiotów” i „sieć nieskrępowanych aktów wymiany gospodarczej”, które zachodzą dlatego, że ich uczestnicy na nich zyskują. Autor, definiując w ten sposób rynek, zdaje się popadać w sprzeczność z tym, co napisał wcześniej, a ponadto pomija rolę polityki w tworzeniu rynku i podtrzymywaniu jego funkcjonowania. Powinna ona być wyjątkowo oczywista w Polsce, gdyż od 1989 r. nasza polityka gospodarcza odniosła największe sukcesy właśnie na polu tworzenia rynków i podtrzymywania ich działania. Poza tym, za pomocą tego rodzaju definicji znakomicie ułatwiamy sobie dyskusję, gdyż coś, co jest swobodne i wolne z definicji, przy założeniu, że przynosi wszystkim uczestnikom korzyści, wydaje się jednoznacznie dobre.

Tak rozumiany rynek implikuje jednak nie tylko wolność od przemocy (państwa), ale również uczciwość („dbałość o dobre imię”), która „jest egoistycznym imperatywem i moralną koniecznością”, a to z tego powodu, że firmy nieuczciwe tracą klientów i zyski na rzecz firm uczciwych. Nie sądzę, aby dbałość o dobre imię była tym samym co uczciwość, gdyż można dbać o dobre imię będąc nieuczciwym lub być uczciwym i o dobre imię nie dbać. Swobodne wymiany handlowe między obcymi sobie ludźmi w dobie wszechdobylskiej reklamy i działań *public relations* stwarzają natomiast wiele pokus do bycia i pozostawania nieuczciwym. Kupujący raczej zwracają uwagę na ceny i jakość towarów, a nie na to, czy ich producent jest uczciwy, dlatego też akcje bojkotu jakichś towarów z przyczyn etycznych nie są zbyt skuteczne. Sprowadzenie zaś uczciwości do tego, że towary drogie i/lub niskiej jakości w wyniku konkurencji towarów tańszych i/lub wyższej jakości zostają ostatecznie wyeliminowane razem z ich producentami, nie wydaje mi się właściwe.

Następnie dowiadujemy się, z przywołaniem dwóch osiemnastowiecznych źródeł („Bajka o pszczołach” Mandeville’a i „O pieniądzu” Galianiego), że dbałość o własny interes i pragnienie zysku

jest jak najbardziej wskazane, gdyż służy to dobru wspólnemu, równowadze, obfitości, dobrobytowi, pożytkowi ogólnemu i poprawie sytuacji całego społeczeństwa, za co odpowiada „niewidzialna i nadrzędna ręka”. Obfitość mógł już stwierdzić w połowie wieku XX Joseph Schumpeter, co Kwaśnicki ujmuje następująco: „system kapitalistyczny”, w którym „wolny rynek jest instytucją fundamentalną” sprzyja „jak najpełniejszemu zaspokojeniu potrzeb społecznych”. Masowa produkcja umożliwia dostęp do ongiś ekskluzywnych dóbr, wytwarzanych przy tym mniejszym wysiłkiem. Nie jest zbyt jasne, w jaki sposób sama swobodna wymiana handlowa doprowadziła do masowej produkcji i konsumpcji, a w konsekwencji do społeczeństwa obfitości. Widać wyraźnie, że przyjęta początkowo definicja rynku okazuje się zbyt wąska, nie tylko zresztą tutaj, ale również wcześniej, gdy czytamy o „społeczeństwie wolnorynkowym” w kontekście „imperatywu uczciwości”. System kapitalistyczny czy społeczeństwo wolnorynkowe to o wiele więcej niż swobodna wymiana handlowa, dlatego przypisywanie wyłącznie rynkowi wszelkich osiągnięć cywilizacji zachodniej jest słabo uzasadnione.

Podsumowując, należy stwierdzić, że wolny handel jest praktyką znaną od tysiącleci i przypisywanie mu „wszelkiego zła” jest równie nierozsądne jak przypisywaniu mu „wszelkiego dobra”.

Przejdźmy teraz do tezy o konwergencji przedsiębiorstw rynkowych i społecznych. Te pierwsze identyfikuje się na ogół poprzez wskazanie zysku jako głównego celu, wyznacznika sensu istnienia, kryterium oceny, cechy definicyjnej czy kategorii analitycznej. Nie ma on takiego znaczenia przy definiowaniu, ocenianiu i analizowaniu przedsiębiorstwa społecznego. Ścisłej rzecz biorąc, odgrywa rolę jako negatywny układ odniesienia, gdyż w wielu ujęciach podmioty trzeciego sektora określa się jako działające nie-dla-zysku. Autor zaczyna tę część swojego wywodu od przytoczenia tego, jakie zdanie miał na ten temat Henry Ford i jak na sprawę patrzą przedsiębiorcy współcześni na podstawie jednego badania ich opinii, którego wyniki wykazały,

iż głównym celem była maksymalizacja sprzedaży (80% wyborów), potem wskazywano obronę pozycji rynkowej, a dopiero na trzecim miejscu maksymalizację zysku (47%). Uważam, że przytoczenie tylko jednych badań to zbyt słaby dowód, a ponadto – co istotniejsze – chciałbym też poznać odpowiedź na pytanie, dlaczego przedsiębiorcy chcą maksymalizować sprzedaż. Kolejny argument z tego zestawu to przywołanie opinii Milтона Friedmana i Petera Druckera, w których wypracowywanie zysku uznaje się jednak za główną sprawę, niemniej nie w kontekście własnego interesu właścicieli, ale odpowiedzialności społecznej. Niezyskowe przedsiębiorstwo jest więc nieodpowiedzialne społecznie, gdyż marnotrawi ograniczone zasoby. Takie postawienie sprawy jest chyba sprzeczne z poprzednio zgłoszonym argumentem, że nie tylko zysk jest istotny. Przy okazji dowiadujemy się od laureata Nagrody Nobla i „guru zarządzania”, na czym polega społeczna odpowiedzialność biznesu – na maksymalizacji zysku właścicieli. Ostatecznie autor przywołuje artykuł J. Gregory’ego Deesa *Enterprising Nonprofits*, aby podkreślić, że przedsiębiorstwa rynkowe często dbają o „wymiar społeczny”. Przywołany tekst był jednak poświęcony nie temu, że biznes staje się bardziej społeczny, ale temu, że trzeci sektor zmuszony jest – z różnych powodów - działać w sposób podobny do firm prywatnych. Wniosek Deesa był natomiast taki: „działania komercyjne nie będą i nie powinny wypierać inicjatyw filantropijnych. Wiele celów wartych starań nie może zostać skutecznie osiągniętych wyłącznie w oparciu o mechanizm rynkowy”¹. Uważam, że na podstawie *Enterprising Nonprofits* nie da się wyprowadzić tezy o obustronnej „konwergencji systemów”.

Zwróćmy teraz uwagę na przedsiębiorstwa społeczne. Autor nie przekonuje, że zysk stał się dla nich głównym lub równie ważnym celem, ale wskazuje zjawiska, które sprawiły, że następuje „urynkowienie funkcjonowania instytucji trzeciego sektora” (np. liberalizacja życia gospodarczego i przekonanie, że dążenie do zysku nie jest złe; przeciwdziałanie uzależnieniu od pomocy poprzez wymusza-

¹J. Gregory Dees, *Enterprising Nonprofits*, w: „Harvard Business Review”, styczeń-luty 1998, s.15.

nie opłat, ale też poprzez mikroprzedsiębiorczość; poszukiwanie stabilnych źródeł dochodu; wzrost konkurencji między organizacjami o ograniczone fundusze; zlecanie zadań przez rządy za pomocą przetargów; wchodzenie przedsiębiorstw rynkowych do tradycyjnych usług społecznych i stawianie się wzorem do naśladowania). Nie oczekujemy jednak, że przedstawione zostaną nam zjawiska sprzyjające urynkowieniu, ale przykłady i dane dotyczące samego urynkowienia. Wyciąganie z tych zjawisk wniosku, że organizacje trzeciego sektora stają się przedsiębiorstwami rynkowymi nie jest uprawnione.

Podsumowując, trzeba stwierdzić, że uzasadnienia tezy o „konwergencji systemów” są wątpliwe – nie wykazano, że urynkowienie trzeciego sektora i uspołecznienie biznesu są na tyle powszechne, żeby przekonująca była rekomendacja, że nie należy różnicować polityki wobec obu sektorów.

Argumenty Witolda Kwaśnickiego nie ograniczają się do wskazanych wyżej. Jeżeli ostatecznie nie podzielimy wiary w wolny rynek oraz w konwergencję systemów i zdecydujemy się jednak, aby wspierać przedsiębiorstwa społeczne ze środków publicznych, to powinniśmy być przygotowani na liczne niebezpieczeństwa. Pierwsze, o którym wspomina autor to wpływ podmiotów gospodarki społecznej na definiowanie norm i standardów, jakim miałyby podlegać. We współczesnym procesie politycznym wszystkie podmioty starają się wpływać na proces definiowania norm i standardów, którym mają podlegać, i jest to zachowanie całkiem racjonalne. Niebezpieczeństwo pojawia się dopiero wtedy, gdy ten, kto ma podlegać regulacji, uzyska dominujący wpływ na tworzenie przepisów prawa w tym zakresie.

Z kolei „bardzo niebezpieczne” są skłonności do międzynarodowej standaryzacji i próby centralnego sterowania „trzecim sektorem przez rządy i agencje rządowe”. Uzasadnienie tej tezy opiera się na historycznej analogii dotyczącej polityki wobec związków zawodowych: „Rząd dba o ich rozwój, bo łatwiej jest je kontrolować i realizować swoje interesy. Lepiej jest mieć za negocjatora jakąś reprezentację związków (centralę) niż negocjować z każdą organizacją osobno”. Nie wydaje mi się, aby centra-

lizacja ułatwiała kontrolę, ponieważ o wiele łatwiej jest kontrolować organizacje, które są podzielone i rozproszone. Ułatwianie negocjacji nie oznacza też automatycznie ułatwiania kontroli tych, z którymi mamy negocjować. Ponadto wspieranie gospodarki społecznej ze środków publicznych bez kontroli tych, którzy z nich korzystają jest sprzeczne z jednym z podstawowych wymogów działania demokratycznego rządu.

Autor przyznaje otwarcie, że ideałem są dla niego Stany Zjednoczone z XIX wieku, kiedy to trzeci sektor miał się rozwijać zupełnie niezależnie od państwa, co Alexis de Tocqueville skwitował m.in. tak: „Dochodzi do częstokroć gorszego rezultatu niż ten, który by uzyskało państwo, lecz na dłuższą metę suma wszystkich indywidualnych przedsięwzięć daleko przekracza to, co mógłby uczynić rząd”. Odstępstwa od tego ideału grożą „zdeformowaniem” i „patologią”. Powoływane odgórnie „organizacje pozarządowe” finansowane ze środków publicznych mają ogólnikowe cele, są biurokratyzowane i trwają, mimo że nie są już potrzebne. Autor nie podaje tu żadnych dowodów (np. wyników badań), które uprawdopodobniłyby hipotezę, iż uprzywilejowana pozycja w polityce państwa sprawi, że przedsiębiorstwa społeczne upodobnią się do urzędów i będą istniały zbyt długo. Rozumowanie opiera się raczej na domniemaniu, że wszystko, do czego się rząd czy państwo dotknie zmienia się w pejoratywnie rozumianą biurokrację. Na koniec autor pozornie zmienia ten tok rozumowania, przyznając jednak, że rząd ma do odegrania pewną rolę w stymulowaniu rozwoju gospodarki społecznej, nie powinna być to jednak „daleko idąca ingerencja”. Zasadnicze znaczenie mają bowiem „spontaniczne, oddolne działania, zwłaszcza na poziomie lokalnym”, co ma wynikać z „przeprowadzonej analizy różnorodnych interpretacji pojęcia »gospodarka społeczna«”. Rzeczywiście są to ważne cechy deficytowe przedsiębiorczości społecznej, ale wynika z nich tylko tyle, że coś, co jest wymuszone, odgórne i ma poziom ponadlokalny, przedsiębiorstwem społecznym raczej nie jest, a nie to, jak powinna wyglądać polityka państwa wobec takich przedsiębiorstw, chyba że przyjmiemy, iż wszystko, co pochodzi

od państwa jest z definicji wymuszone, odgórne i ponadlokalne.

Czy autor daje jakieś wskazówki, gdzie zaczyna się już „daleko idąca ingerencja” i kończy „stymulowanie rozwoju”? Przywołuje on znowu wzorcowy wiek XIX, aby stwierdzić, że instytucje gospodarki społecznej powinny funkcjonować w otoczeniu rynkowym i być równoprawne z podmiotami sektora rynkowego. Rola państwa polega zaś na zapewnieniu, żeby ludzie się bogacili, ponieważ aktywność społeczna zależy od poziomu życia i związanej z nim ilości czasu wolnego, czyli stworzenia warunków sprzyjających indywidualnej przedsiębiorczości i innowacyjności oraz dobrego funkcjonowania rynkowego mechanizmu cenowego. W takich warunkach, tak jak w XIX wieku, dynamicznie rozwinięta efektywna gospodarka społeczna i trzeci sektor. Pominę kwestię, czy rzeczywiście efektywność w sensie ekonomicznym powinna być uznawana za kryterium oceny podmiotów tego sektora. Z przytoczonego rozumowania jasno wynika, że „daleko idąca ingerencja” zacznie się zapewne już wtedy, gdy rząd zechce zrobić coś ponad to niezbędne minimum. Wiara w wolny rynek i nostalgia za wyidealizowanym obrazem XIX wieku nie wydają mi się właściwymi podstawami do racjonalnej dyskusji na temat tego, jak ma wyglądać ład społeczny we współczesnym świecie, a zwłaszcza, jaka ma być rola państwa w odniesieniu do gospodarki społecznej i trzeciego sektora oraz problemu ich niedorozwoju w naszym kraju.

Autor zadaje na koniec pytanie „jak wydać pieniądze na rozwój trzeciego sektora (gospodarki społecznej), aby zapewnić ich efektywne wykorzystanie?”. Z jego argumentacji wyłania się odpowiedź, że w ogóle nie należy ich wydawać lub że należy je wydawać na rozwój wolnego rynku. Starałem się podważyć wywody Witolda Kwaśnickiego i jeżeli mi się to udało, postawione przez niego pytanie pozostaje bez przekonującej odpowiedzi. Naukowcy mogliby starać się poprawiać jakość procesów demokratycznych w naszym kraju za pomocą rzetelnej oceny społecznych korzyści i kosztów alternatywnych polityk wobec gospodarki społecznej. Problem jednak w tym, że przy

analizach tego rodzaju wagi przydawane poszczególnym korzyściom i kosztom odgrywają zasadniczą rolę w ich bilansowaniu. Dobrze, że tytuł tekstu Kwaśnickiego zawiera wyrażenie „ekonomia liberalna”. Mam nadzieję, że możliwa jest ekonomia, która nie jest ani liberalna, ani socjalistyczna.

Witold Kwaśnicki

To nie jest recepta (odpowiedź na polemikę)

Wbrew temu, co twierdzi Ryszard Szarfenberg, celem mojego artykułu nie były żadne „polityczne rekomendacje uzasadniane [...] wiarą w doskonały wolny rynek”. Zawsze staram się być daleko od polityki i jako ekonomista unikam wszelkich deklaracji oraz rekomendacji politycznych. Rolą ekonomisty powinno być dokonywanie analiz wolnych od sądów wartościujących. Kiedy ekonomista formułuje pewne „rekomendacje”, jest już nie tyle naukowcem, ile politykiem.

W opracowaniu, którego fragment ukazał się w „Trzecim Sektorze”, starałem się jedynie pokazać pewne alternatywne (w stosunku do obserwowanego w ostatnich dekadach „hurra optymistycznego”) spojrzenie na tzw. trzeci sektor, patrząc chłodnym okiem ekonomisty. Przykro mi jest stwierdzić, że wbrew deklaracji Ryszarda Szarfenberga, by „w dyskusjach na temat tego, jak ma być zorganizowane życie zbiorowe odwoływano się do bardziej realistycznego obrazu świata” tego realistycznego obrazu w jego polemice nie dostrzegam.

Postaram się ustosunkować do niektórych zarzutów w kolejności ich pojawiania się w tekście polemiki.

Z opracowania nie wynika, że każdy krytyk rynku to biurokrata rządowy i zwolennik interwencjonizmu państwowego, co sugeruje Szarfenberg, pisząc, że „etykietuję ich” w ten sposób. Nigdy nie twierdziłem, że rynek to idealne rozwiązanie i krytyczne spojrzenie na mechanizmy rynkowe nie jest obce liberałom.

Autor dosyć nierzetelnie przedstawia cytaty z mojego artykułu. Na przykład zamiast „winiąc go [rynek] o wszelkie zło” powinno być „winiąc go za wszelkie zło”. Nie ma w moim tekście podanej w polemice w cudzysłowie frazy „rynek obwiniają za wszelkie zło biurokraci dla własnego politycznego interesu”, co sugerowałyby, iż jest to cytaty z mojego tekstu.

Nadużyciem jest stwierdzenie, jakoby moja argumentacja dotycząca zalet rynku ograniczała się do opowieści o dwóch drzewach („rynek nie jest »straszną bestią« i »nieokiełznaną konkurencją« na podstawie opowieści o dwóch drzewach”). Z mojego tekstu jasno wynika, że jest to jedynie metafora, i to nie metafora rynku, ale konkurencji (która jest jednym z wielu elementów rynku). Upraszczenie do niej całej argumentacji jest nadużyciem (o szerszym kontekście argumentacji sugerują też przypisy 14 i 15).

Zarzucanie mi, że pomijam „rolę polityki w tworzeniu rynku i podtrzymywanie jego funkcjonowania” jest całkowicie bezzasadne. Po pierwsze, nie to było celem artykułu, a po drugie, jeśli miałbym się na ten temat wypowiadać, to stwierdziłbym, że nic państwu do tworzenia rynków. Państwo co najwyżej powinno stwarzać ogólne warunki sprzyjające funkcjonowaniu rynków, a nie je tworzyć. Twierdzenie, że w Polsce po 1989 r. sukcesy gospodarcze były związane z tworzeniem rynków przez państwo świadczy o całkowitym niezrozumieniu istoty polskich reform. To, co zrobiono w pierwszych trzech latach funkcjonowania „planu Balcerowicza” było nie tworzeniem rynków, ale stworzeniem warunków rozwoju indywidualnej przedsiębiorczości, indywidualnej inicjatywy, ludzkiej kreatywności.

Autor polemiki nie sądzi „aby dbałość o dobre imię była tym samym co uczciwość, gdyż można

dbać o dobre imię będąc nieuczciwym lub być uczciwym i o dobre imię nie dbać”. Nigdzie nie napisałem, że dbałość o dobre imię jest równoznaczna z uczciwością. Z mojego tekstu można jedynie wywnioskować, że uczciwość jest elementem dbałości o dobre imię. Poza tym ciekaw jestem, jak autor polemiki wyobraża sobie dbanie o swoje dobre imię przez osobę nieuczciwą (mądrość ludowa mówi, że „kłamstwo ma krótkie nogi”).

Ryszard Szarfenberg pisze: „Nie jest zbyt jasne, w jaki sposób sama swobodna wymiana handlowa doprowadziła do masowej produkcji i konsumpcji, a w konsekwencji do społeczeństwa obfitości”. Przecież nie to było przedmiotem opracowania; jak do tego doszło można się dowiedzieć z wielu książek poświęconych temu problemowi. Służę Autorowi odpowiednią bibliografią.

Równie nieuczciwe jest stwierdzenie autora polemiki, że „System kapitalistyczny czy społeczeństwo wolnorynkowe to o wiele więcej niż swobodna wymiana handlowa, dlatego przypisywanie wyłącznie rynkowi wszelkich osiągnięć cywilizacji zachodniej jest słabo uzasadnione”. Nigdzie czegoś takiego nie napisałem, a ponadto znów problematyka ta leży poza przedmiotem mojego opracowania.

Autor polemiki pisze, że „Przy okazji dowiadujemy się od laureata Nagrody Nobla i »guru zarządzania«, na czym polega społeczna odpowiedzialność biznesu – na maksymalizacji zysku właścicieli”. Znów nadużycie. W artykule, przywołując opinie Friedmana i Druckera, nie mówiłem o maksymalizacji zysku, ale o „powiększaniu zysku”, o „ekonomii działania” oraz o „przynoszeniu zysku”. „Maksymalizacja” i „powiększanie” są naprawdę istotnie innymi kategoriami. Chęć powiększania zysku nie musi być sprzeczna (i najczęściej nie jest) z postawą społeczną przedsiębiorców.

Szarfenberg stwierdza: „Ostatecznie autor przywołuje artykuł J. Gregory’ego Deesa *Enterprising Nonprofits*, aby podkreślić, że przedsiębiorstwa rynkowe często dbają o »wymiar społeczny«”. Po pierwsze, nie wiem, dlaczego „ostatecznie”, a po drugie – powołując się na Deesa ani razu nie stwierdziłem, iż wynika z jego opracowania, że przedsiębiorstwa rynkowe dbają o wymiar społeczny. Intencją moją było,

by łącząc to, co wcześniej pisałem o przedsiębiorstwach rynkowych z badaniami Deesa, móc stwierdzić, że proces ten można uznać za współczesny przejaw „konwergencji systemów”.

W dalszej części polemiki Ryszard Szarfenberg krytykuje moje niepocholebne opinie o współczesnych tendencjach rozwoju trzeciego sektora. Dodam, że moje krytyczne stanowisko wobec trzeciego sektora, a zwłaszcza tzw. organizacji pozarządowych, zawarte jest także w drugiej, nie publikowanej jeszcze w „Trzecim sektorze”, części mojego opracowania pt. *Ekonomia (gospodarka) społeczna*, które przygotowałem dla Instytutu Spraw Publicznych. Ze względu na ograniczoność miejsca przeznaczanego mi na odpowiedź na polemikę pozwolę sobie na drobną uwagę. Odnoszę wrażenie, że autor polemiki często zachowuje się jak „advokat diabła”. Sam dostrzega duże niedoskonałości tego sektora. Dał temu wyraz w niedawno opublikowanym artykule zatytułowanym *Teoria zawodności trzeciego sektora*. Na końcu rozważań zawartych w tym artykule stwierdził: „Uważam, że warto uruchomić program badawczy, który lepiej usystematyzuje teorię niepowodzeń trzeciego sektora oraz zainspiruje do systematycznych badań empirycznych”².

Kończąc swą polemikę Ryszard Szarfenberg pisze: „Naukowcy mogliby starać się poprawiać jakość procesów demokratycznych w naszym kraju za pomocą rzetelnej oceny społecznych korzyści i kosztów alternatywnych polityk wobec gospodarki społecznej”. Gratuluję odwagi, ja nie podjąłbym się takiego karkołomnego zadania. Znacznie bliższe jest mi przesłanie Friedricha von Hayeka, który kilkanaście lat temu stwierdził, że „osobliwym zadaniem ekonomii jest pokazanie ludziom, jak mało w istocie wiedzą o tym, co w ich mniemaniu da się zaprojektować.

Na koniec chciałbym się zgodzić z Ryszardem Szarfenbergiem, który w ostatnim zdaniu swej polemiki stwierdza, iż ma „nadzieję, że możliwa jest ekonomia, która nie jest ani liberalna, ani socjalistyczna”. Też uważam, że nie ma ekonomii liberalnej, socjalistycznej, kapitalistycznej itp. Ekonomia

jest tylko jedna, i jest to dobra ekonomia. Zawarty w tytule artykułu termin „ekonomia liberalna” nie jest mojego autorstwa. Tytuł nadany został przez redakcję, sam go zobaczyłem już po opublikowaniu artykułu w „Trzecim Sektorze”. Nie protestowałem, bo uznaję, że nie etykiety są ważne, ale treść, a ponadto argumentacja oraz wymiana poglądów w rzetelnej dyskusji naukowej.

²Ryszard Szarfenberg, *Teoria zawodności trzeciego sektora*, www.ips.uw.edu.pl/rszarf